

NI JEDNEJ STAŁEJ GODZINY



Z Joanną Szczepkowską rozmawia Andrzej Płatek

— Chyba nie tylko ja bardzo sympatycznie wspominam Pani rolę w „Dwóch księżycach”, wg Marli Kuncewiczowej. Ciekawe, czy wzorem cudownej i wlecznie zakochanej pani Flory ma Pani swą ulubioną suknię „Fleisir” — „zanadto zwyczajną na dzień wybrany”, różowy chiton „Tendresse”, futro „Solitude” — „całe w gronostajowej bieli, pyzane i zimne jak dosyt”, i płaszcz „Melancolie” — „na najpiękniejsze chwile rozstania”? Czy pani Flora ma z Panią coś wspólnego?

— Bardzo bym chciała mieć tyle strojów, co ona. Ale nie sądzę, żebym mogła być do nich aż tak obsesyjnie przywiązana. W każdym razie do swoich nie jestem i mają one właściwe sobie nazwy. Pani Flora z „Dwóch księżyców” niczego nie ma ze mną wspólnego. Ale bardzo ją lubię. To jest taka wymyślona postać, którą się gra, nie próbując w niej siebie odnajdywać.

— Ale lubi Pani piękne stroje?

— Bardzo lubię pięknie się ubierać, lecz nie spędza mi to snu z powiek.

— Jest Pani wnuczką pisarza Jana Parandowskiego, sądzę, że nie tylko mojego ulubionego autora, którego twórczość jest uosobieniem kultury słowa i śródziemnomorskiej tradycji. Jakże ma Pani wspomnienia związane z nim? Jak obchodzono Wigilię i Boże Narodzenie w domu Pani dziadków?

— Dotknął pan czulej struny, gdyż są to moje najlepsze wspomnienia. Takich, już nie będę miała: W domu moich dziadków był ogromny, okrągły stół (dziwnie dzisiaj brzmi: okrągły stół, ale on był rzeczywiście okrągły). Było w nim coś mistycznego. Nie tylko podczas Wigilii, rodziemy Parandowskich i Szczepkowskich śladywały zawsze na tych

NI JEDNEJ STAŁEJ GODZINY

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 1)

amych krzesłach. Na Wigilię podawano wszystkie potrawy przewidziane tradycją, wg przepisów pani Cwerciakiiewiczowej. Pamiętam, że barszcz rosłono tydzień przed Wigilią. Na chwilę czekałam cały rok, a kiedy minęła, pocieszałam się, że nowy rok szybko upłynie i nowu będzie Wigilia.

— Jak wspomina Pani swego dziadka?

— To nie był taki dziadek, któremu bezceremonialnie mówiłam usiąść na kolanach, a on

pałił fajkę i opowiadał bajki. Jan Parandowski taki sam był oficjalnie, jak prywatnie. Nie, nie był człowiekiem sztywnym w obejściu, ale zawsze zachowywał się z dużą godnością. Z tym swoim milczeniem, emanującą z niego ciszą, w żadnych okolicznościach nie był człowiekiem „w pantoflach i szlafroku”. Nie sądzę, żeby go ktoś takim widział. Wstawał zawsze o piętej rano i kilka godzin pisał. Ale to jego pisanie dla nikogo nie było obciążeniem. Nie było tak, że skoro pisał, wszyscy domownicy mu-

sieli być cicho. Natomiast, gdy w ciągu dnia spał, odsypiając tę piątą rano, a było to także w określonych godzinach, wówczas trzeba było być bardzo cicho. Miał idealnie zagospodarowany czas dnia, prawie co do minuty. Całe życie naszej rodziny było podporządkowane jego trybowi spędzania czasu.

— Czy istnieje coś, co Pani zawdzięcza dziadkowi szczególnie.

— Może to nie jest sprawa jakiegoś ważnego zdania, które on wygłosił, ja je zapamiętałam. Ono jest moją dewizą. To raczej kwestia stylu życia, stosunku do dóbr materialnych, do ludzi. Chyba od niego przejęłam przekonanie, że to, co się ma, nie jest najważniejsze. Mój ojciec, Andrzej Szczepkowski, chyba jako jedyny w środowisku teatralnym Warszawy, nie ma samochodu. I nie wiem, jak się nim posługiwać. Nie przychodzi mu do głowy, że może jest to jakaś ułomność? Mój ojciec urodził się w Suchej Beskidzkiej, zawsze gdzieś się wspinał, dużo chodził i spacerował, dlatego jazdę samochodem uważa za zbędne wygodnictwo. Rzadko jeździ nawet autobusem. Ja też nie mam samochodu. Nawet, jeśli bardzo gdzieś

się spieszę, wolę iść, niż jechać. Nigdy w naszej rodzinie nie było tak, żeby za wszelką cenę coś mieć. Uważam to za skarb. Bo można żyć bez wielu przedmiotów. Z wyjątkiem książek.

— Odnoszę wrażenie, Pani Joanno, że jednak była Pani ulubienicą dziadka.

— Chyba tak. Dziadkowi zawdzięczam bliskie poznanie świata antycznego, a także — dzięki „Zegarowi słonecznemu”, mojej praprababci. Wiem z fotografii, jak wyglądała, ale z książki dziadka mam jej bardzo plastyczny obraz. I dalej mojej dawnej rodziny. Także mojej mamy — jako niemowlęcia. Są to pewne już nietypowości. Bo obecnie rzadko się zdarza, żeby pamięć kogoś sięgała tak daleko. Tak samo, jak wyjątkowym dzisiaj byłoby małżeństwo moich dziadków. Którzy tak idealnie się dopełniali.

— Czym różnią się domy Parandowskich i Szczepkowskich rodziców i Joanny Szczepkowskiej?

— Są to różnice wynikłe ze zmienności świata. W domu moich dziadków życie dopasowywano w ciągu dnia do ustalonych godzin. Jeszcze w domu moich rodziców obiad podawano

zawsze o godzinie trzeciej po południu. W moim domu jest on w różnych, często bardzo zaskakujących porach. W ciągu dnia nie ma ni jednej stałej godziny przeznaczonej na coś.

— Jakim ojcem jest Andrzej Szczepkowski?

— Właściwie to dopiero teraz poznaję go bliżej jako ojca. Kiedy byłam małą, on bardzo dużo grał, był zapracowany, często wpadał tylko o trzeciej na obiad i gdzieś znikał. To był taki ojciec „dobiegający” albo „dojeżdżający”. Jakby rekompensując to, że się mną mało zajmował, z licznych wojaży często przywoził mi lalki, stąd do dzisiaj mam ich mnóstwo. Był to ojciec „od święta” i „od prezentów”. Teraz, kiedy pracuję mniej, stał się moim prawdziwym tatą. Ma dla mnie dużo czasu, ale ja — mam go dla niego mniej. Niemniej oboje dużo razem spacerujemy. Ja mam psa, wylicę, piękną. On się nią bardzo interesuje, niż mną, gdyż bardzo lubi psy.

— Podobno, chcąc bardzo być aktorką, została nią Pani na przekór rodzinie?

— Tak, to prawda. Długo ukrywałam się z tą chęcią, z moimi marzeniami, ponieważ je-

szcze jako dziecko dużo pisałam i dziadek uważał, że pójdę jego śladem. Bardzo się obraził, gdy mu powiedziałam, że nie pójdę na uniwersytet, ale do PWST. Uważał, że są to znacznie gorsze studia.

— To jak zaakceptował swego zięcia-aktora?

— To osobna historia. Mój ojciec (teraz go pochwalę, ale to chyba nic zdrożnego?) wspinał się czyta. Bardzo lubię słuchać, kiedy on czyta w radiu. Czytał wszystkie teksty dziadka. Robił to przepięknie. W Polskim Radiu był „przypisany” do twórczości Parandowskiego, zanim został jego zięciem. Sądzę, że to przełamało lody między nami. Ale mój dziadek nigdy nie darował, że będąc przeznaczoną na filologię klasyczną, dokonałam innego, tak barbarzyńskiego wyboru.

— Mogłaby Pani scharakteryzować swój dom?

— Jest bardzo rozbiegany. Niemniej, moje córki rozwijają się dobrze. Jesteśmy razem, w trójkę, bardzo blisko siebie. Choć ja boleję, że jestem taką matką, która często o szóstej wieczorem wychodzi — do teatru. A jest to dobry czas na matczyną rozmowę o czymś

ważnym. Moja starsza córka ma 15 lat. Jest bardzo ładną blondynką, z długimi włosami. Interesuje się fotografią. Wiążę z tym pewne nadzieje, bo ja też nie chciałam, żeby ona kiedyś uprawiała np. mój „barbarzyński” zawód. Jest — bardzo współczesna. Nie taka, jak ja, która nigdy nie była współczesną. Młodsza córka ma 12 lat. Jest poetycka i lubi się uczyć.

— Ale nie do końca chyba zawiodła Pani oczekiwania dziadka? Podobno napisała Pani kilka książek?

— Jeśli usłyszał pan, że piszę wspomnienia, są to plotki. Mam w przygotowaniu wiersze, sztukę jednoaktową i zbiór opowiadań.

— Pani Joanno, dzięki pewnemu zdaniu, które kiedyś wypowiedziała Pani w telewizji, weszła Pani do świata polityki. Jak to Pani wspomina?

— Kiedy ktoś mi mówi: No, odwołała pani komunizm, a co teraz? Odpowiadam: Dobrze, ale gdyby komunizm był to Pan, albo Pani, teraz by mi nie mogli zadać tego pytania. Coś się jednak zmieniło.

— Dziękuję za rozmowę i życzę dobrych, pogodnych świąt.

Fot. J. PASZKOWSKI